

Pamiętniki Don Juana

Na podstawie autentycznych dokumentów, zebranych przez mnicha Brata Augustyana w klasztorze w Sewilli.

— O, jakież piękne słowa! — zawołała ucieszona hrabina. — Możecie liczyć na moją wdzięczność.

Ta wróżba mi się podoba — rzekł Jerzy — macie spryt, mój przyjacielu.

Lekarz nieznacznie się uśmiechnął.

Mistrzu — zaczęła hrabina ponownie — proszę was teraz o wróżbę z gwiazd. Obawa o odpowiedź była równie korzystna dla mojego syna, jak dla mnie.

— Na to potrzebowałbym obrazu nieba w chwili przyjścia na świat waszego syna — odpowiedział astrolog.

— Oto jest — rzekł Lewita, wydając papier z kieszeni. Z rozkazu pani hrabiny sporządziłem dokładny obraz firmamentu.

Astrolog wglębił się badawczo w treść papieru, mruczając przytem kabalistyczne wyrazy:

— Orion zwrócony na Wschód... lewe ramię w powietrzu... Syryusz na najwyższym niebie... hml... serce... Jupiter w zetknięciu z Bykiem... Aldebaran gwiazda wędrująca cyganów... to dobre!... Wenus niewidoczna... ahl ahl...

I cóż? — zapytał Jerzy, zniecierpliwiony jak zwykle.

— Zaraz. Muszę wprzód narysować magiczny czworobok. Cierpliwości!

— Magiczny czworobok! — powtórzył Jerzy z wielkim zdziwieniem i ogromnie zaciekawiony zbliżył się do astrologa.

Ten narysował najpierw duży czworobok, w środkowym polu drugi mniejszy, zaś przestrzeń między jednym a drugim czworobokiem podzielił na dwanaście pól trójkątnych.

Mistrz Scipio zdawał się być bardzo przejętym i skupionym w sobie. Po chwili rozwał wielką księgę, zapelnioną znakami i tronomicznymi, przewertował mnóstwo kartek, porównując w iąż zapiski lekarza z magicznym czworobokiem i tajnymi znakami w księdze. Wreszcie, po długich i mozolnych badaniach, przemówił:

Laskawa pani, oto jest horoskop urodzenia waszego syna:

— Zetknięcie się Jowisza z konstelacją Byka oznacza wiele spełnionych życzeń; dzięki podróży i niezłej zone bogactwa. Wasz syn będzie elegantem; będzie bardzo poważan w życiu. Syryusz na najwyższym szczycie nieba oznacza, że serce odgrywać będzie wielką rolę w jego życiu. Jednak powinien się tego wystrzeżać! Orion, wywierający wpływ na lewe ramię, w chwili urodzenia już się cofał; jest to znak, że jego serce będzie często zagrożone, lecz będą to niebezpieczeństwa moralnej natury. Nie grozi mu nagła śmierć, owszem, będzie długo żył. Wzbogaci się kolejno przez darowizny, zapisy i schedy.

— Czy będzie szczęśliwy? — zapytała hrabina.

— Tak, o ile majątek, zdrowie, potęga i sława uszczęśliwią go zdolają.

— Czy wejdzie w związek małżeński?

— Dwukrotnie!

— No, to nieźle — wtrącił Jerzy — jestem wcale zadowolony.

Na nieszczęście skierowała hrabina do astrologa jeszcze jedno pytanie, które miało wszystko zepsuć.

— Czy pozostawi liczne potomstwo?

— Na to nie mogę dać stanowczej odpowiedzi, laskawa pani — odrzekł mistrz Scipio. — Wenus, która kieruje płodnością, była niewidoczna na niebie. Z wstecznego ruchu cyfr moich astrologicznych znaków mogę wyczytać tylko tyle, że koniec waszego rodu będzie przeciwieństwem jego początku. Od kogo wywodzi się wasz ród?

— Od założyciela domu Lara, którego boczna linia jest rodzina di Tenorio — od Mudarry-Bastarda.

— Do Mudarra był Maurem, a synem chrześcijanina. Wasza rodzina wygaśnie na chrześcijańskim, a synu mauretańczyka.

Na te słowa hrabina z okrzykiem padła na ziemię nieprzytomna.

— Ha! Lotrze! Kłamco! Bezczelny! — wołał rozwścieczony Jerzy. I pozostawiwszy hra-

binę troskliwej opiece lekarza, chwycił ze stołu linie matematyczną i począł po swojemu robić pomiary na plecach nieszczęśliwego astrologa.

Tymczasem lekarz ocucił hrabinę z omdlenia i dzięki jej wstawiennictwu zakończyła się ta nierówna walka momentalnym a bezterminowym zawieszeniem broni, które przemieniło się wkrótce w długotrwały pokój, kiedy hrabina odchodząc wręczyła astrologowi ciężarną złotą saktówkę, zarazem Jerzego ze sobą zabierając. Oboje wrócili do pałacu, nie zamieniawszy po drodze ze sobą ani jednego słowa. Hrabina była bardzo wzburzona i przez całą noc nie zmrzyla oka ani na chwilę.

ROZDZIAŁ III.

Zarodki.

Hrabina przywiozła z Estremadury niemowlę w powijakach, płci żeńskiej. Dziewczynka była tak wątła i nikła, że chyba tylko cudem utrzymać się mogła przy życiu. Wproś niepojęta było rzeczą, jak to dziecko oddechać mogło. Kżdego rana spodziewano się zaleźć je bez życia w służącej mu za kołyskę szkatułce, wyściełanej wełną. Nawet hrabina uważała je za niezdolne do życia. Z obawy, aby dziecko nie zmarło w cz sie podróży, nie chciała się też zrazu podjąć odpowiedzialnej opieki nad niem, jednak okoliczności nałożyły na nią ten obowiązek.

Jedną z jej kuzynek, Donna Marya Salazar, którą bardzo kochała, poślubiła wbrew woli rodziców młodego człowieka z Estremadury, nazwiskiem Ramon Jover, człowieka zresztą z dobrej szlacheckiej rodziny i dzielnego charakteru, który je nął w całym majątku posiadał tylko dom, położony w Medellinie i pobory kapłana królewskich galer. Mimo to, dziesięć lat przeżyli z sobą szczęśliwie, przynajmniej o tyle szczęśliwie, o ile to w biednej rodzinie jest możliwe. Mąż przebywał przeważnie na morzu, aby zarobić na utrzymanie żony, która zostawała w domu. Dnie, spędzone na lądzie, były całkiem szczęściem obojga. Wróciwszy z ostatniej podróży, zastał żonę, którą pozostawił przy nadziei, już zmarłą. Donna Marya w siódmym miesiącu powładła dziewczynkę i uległa skutkom przedwczesnego porodu.

Donna Clara zastała kuzyna w rozpacz. Nieutulony w żalu po stracie swej ukochanej żony, tracił głowę na myśl o trudnościach, a raczej o niemożliwości wychowania dwojga swych dzieci. Od biedy, mógł wziąć syna ze sobą na okręt. Chłopak był już rośli i dość silny, aby znieść życie na morzu. Ale to drugie, to biedne niedorozwinięte słabe stworzenie! Potrzeba mu było matki dla tej biednej sierotki, a pocziwa hrabina przyrzekała mu ją zastąpić — i tak też uczyniła.

Maleństwo znosiło podróż lepiej, aniżeli można się było spodziewać. Kilka kropli mleka starczyło mu za całodzienny pokarm. Pomimo swojej słabości dziecko mało spało i nie krzyczało wcale; było uosobieniem łagodności. To też hrabina polubiła je wnet, a jej litość dla biedactwa zamieniła się w czułość. Jerzy, który przy całej swej rubasznosci, w gruncie rzeczy miał dobre serce, przywiązał się odrazu do biednego dziecka i otaczał je o cowską opieką. Ale, że jego dobry humor zawsze go dławil, jeżeli nie miał ujścia, więc wyładowywał się w ciągłych żalach i docinkach na temat nieprawdopodobnej miary tego maleństwa. Miało imię matki, Marya, a Jerzy dodał mu przydomek Munequita (zdrobienie od Muneca = lalka) czyli „Laleczka”.

Przybywszy do Marany, dano Laleczce Juana za towarzysza. Mieli wspólną kołyskę i wspólną karmicielkę. Rozkoszny był widok tych dwojga dzieci, pięknego w sile chłopca i pełnej wdzięku, delikatnej dziewczynki, ssących społem w wymion ładnej, białej kozy. Marmol nazywała się ta mamka. Zdawało się, jak gdyby sama odczuwała przyjemność w karmieniu tej pary dzieci; przybiegała zaraz za pierwszym odezwanieniem się jednego z nich i stała przez cały czas karmienia z powagą i godnością, jak gdyby w zrozumieniu całej doniosłości tej ważnej funkcji, jaką powierzono jej do spełnienia. Jeszcze piękniejszy był widok tych dwojga dzieci, kiedy za dnia leżały obok siebie we śnie, całkiem nagie, splecione z sobą rączkami, spokojnie uśmiechnięte, niby obraz czystej, niewinnej miłości. Bo kochały się te dwie istoty. Szukały się wzajem, kiedy się ze snu budziły, uśmiechały się do siebie, kiedy się spostrzegły i pieściły się małymi różkami.

Kiedy Juana nie było, Laleczka płakała; a kiedy Laleczki nie było, Juan krzyczał.

Zaprawdę — nie było to podobieństwo charakterów, co tych dwoje ku sobie pociągało; trudno byłoby znaleźć większe przeciwieństwa, jak te dwie różne natury, które tutaj spłotyły się w parę. Jedno łagodne, spokojne i uległe, drugie porywcze, ogniste, samowolne, uparte. Juan więcej robił haasu w jednym dniu, niż Laleczka przez cały miesiąc. Ona, poza swoim towarzyszem, zdawała się niczego więcej nie pragnąć; nie odmawiała nigdy, ale i nie żądała nigdy. Inaczej Juan: zachciało mu się czego, to musiał o bć i to natychmiast, bo Bóg wie, jaki harmider zrobiłby rozkapryszony dzieciak.

A nie zbakło paniczowi kaprysów.

Na wszystko miał ochotę; pociągało go wszystko, co błyszczało; co tylko ujrzał nowego, zaraz chciał je mieć, nie troszcząc się już więcej o nic innego; to, co posiadał jako chwilową rozrywkę, rzucał precz i wyciągał ręce po nowy przedmiot swego pożądania.

A zarazem ten niespokojny temperament nie wykluczał czulszych strun uczuciowych. Na widok tego, co ukochał, zapominał o wszystkim innym. Wystarczała sama obecność ojca, matki, Laleczki, a nawet Marmola, aby w największym wzburzeniu zaraz się uspokoił. Na nikogo innego więcej nie zważał; nawet brat go nie obchodził.

Styły Jerzy podążał był za swoim wódcem do Włoch, gdzie znów ozgorzała wojna między Hiszpanią a Francją o królestwo Neapolu. Gdyby był w domu, niezawodnie pokochałby go Juan już wtedy, tak, jak później ukochał go całkiem sercem.

Po wyrazach: mama, papo, Munequita i Marmol, pierw szym słowem, jakie wypowiedział, był wyraz: „ładne”. Wszystko, co mu się podobało, jak i wszystko to, czego jeszcze nie znał, było „ładne”. Było niem tak długo, dopóki nie obejrzał dokładnie, nie wycalał, nie roztrząskał, nie odrzucił. A wtedy ten przedmiot już niczem więcej nie był i przestał dla niego istnieć.

Z biegiem lat te wrodzone skłonności jeszcze się w nim spotęgowały.

Był wolnym od zwykłych wad dziecięcego wieku: lakościwa, bojaźliwość, kłamstwa, złodziejswa. Ale pożądlivość i cieawość rozwinęły się u niego szybko, z każdym dniem umacniały się te insytkty, aż do stanu nienasycenia. Nie znał przeszkód, ani granic. Nigdy nie spoczął; zawsze był w ruchu, zawsze coś obserwował, poszukiwał, wypatrywał, wypyttywał, szukał, badał, zawsze się krzątał, zawsze coś majstrował. Dostał zabawkę — zaraz ją potłukł, aby zobażyć, co jest wewnątrz. Spozstrzegł drzwi otwarte — już wszedł w nieznaną przestrzeń, nie troszcząc się o to, jak się wydołanie. Raz przebył cały dzień w zamkniętym spichlerzu, w którym się schował bez niczyjej wiedzy. Innym razem znalazł go bez przytomnego w piwnicy do której wpadł, chcąc po ciemku zejść po schodach. Nie było drabiny w podwórzu, ani drzewa w ogrodzie, po którychby się nie wspinał, z narażeniem na złamanie karku. Wypadki go nie omijały, jednak zawsze jakoś wszedł z nich bez szwanku. To w nim podsycalo odwagę i zaufanie w swe sły i zachęcało do dalszych awantur, które mogły się niejednokrotnie źle skończyć. Pewnego wieczora wyciągnięto go na pół żywego ze stawu, do którego wskoczył, aby złowić kszężyc.

Rodzice żyli w ciągłej obawie o niego. Matka, która go namiętnie kochała, starała się mu wyperswadować to zamilowanie do igrania z niebezpieczeństwem, które jego bawiło, a ją martwiło.

— Jeszcze to kiedy przeplacisz życiem — mowila ze łzami w oczach — a cóż wtedy ze mną się stanie?

Wtedy chłopiec rzucał się matce na szyję w namiętnych uściskach, żalując i przyrzekając poprawę.

— Zobaczysz, mamusiu, będę posłuszny, jak Laleczka.

Laleczka bowiem była w jego oczach wzorem wszelkich cnót.

Ale wszelkie jego zapewnienia i postanowienia za chwilę poszły w niepamięć i chłopak na nowo zaczął szaleć.

Hrabia, zawsze panując nad sobą, maskował swoje ojcowskie uczucia zewnętrznym chłodem i powagą i nieraz wyłajał syna za tę niesforność.

Ciąg dalszy nastąpi.